



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:  
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych  
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,  
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.  
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:  
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.  
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy  
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta  
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-  
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.  
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1  
sgr. 20.

### DRAPIEŻNE PTASZĘ.

Figlarka—pustotka.  
I groźna i słodka,  
Drapieżna ptaszyna:  
Dziewczyna.

Żartuje—pustuje,  
Choć koleców—nie czuje,  
I wbija na szpilki:  
Motylki!

To smętna—to płocha,  
Czy kocha? nie kocha?  
Któż od niej się dowie?...  
Nie powie.

Niewiuna jak dziecko  
A straszną jest przecie:  
Czy sprzyja—nie sprzyja...  
Zabija.

Czy lubi—nie lubi.  
Bezwiednie cię zgubi,  
Bez myśli zgruchota—  
Niecnota!

Bo śliczna, bo cudna,  
Bo wdzięczna, uludna,  
W pierś rzuci żarzewie...  
Choć nie wie.

Wesoła, a tkliwa,  
Marząca, a żywa,  
A wzrok ma uroczy—  
Ach oczy!

Promienne jak zorze,  
Głębokie jak morze.  
A tęskne—jak pienia  
Marzenia.

Jej główka jak święta,  
W krąg blasków ujęta.  
A włoski... a szyjka!  
Och, zmijka!

Gdy wdzięcznie szczebiocze,  
Takie to urocze,  
Że wieczność być całą  
Z nią... mało.

Miluchna pieszcotka,  
To drapnie jak kotka,  
To oczkiem nagrodzi...  
A zwodzi.

Gdy śmieszkiem zezaruje,  
Gdy łezką cię struje,  
O, któż ci pomoże,  
Nieboże!

Więc lecą ofiary—  
I młody i stary,—  
Bo któż się obroni  
Jej broni.

Miej litość, dziewczyno:  
Gdy wszysey wygina,  
Cóż ci się zostanie?  
Tyranie!

Wł. L. Anczyk.

### SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Coś dobrodziej o starej dewotce zapomniał,  
odezwała się żartobliwie—a ja oczy wypatrzyłam,  
uszy wysłuchałam, czekając miłosierdzia.

— E! jejmościuniu, to nie za mną, ale za tużem  
ezerwiennym zateśkniłaś.— rozśmiał się mnich, sia-  
dając.

— Otóż bardzo przepraszam, bo za jegomością  
dobrodziejem. Pokiwała głową.

— Mam wielki, wielki interes!

— O! ba! do mnie!

— A no, słowo daję.

Westchnęła staruszka i minę nastroiła poważną.  
Odchrząknęła.

— Ja dobrodziejowi tajemnicę jedną powierzę—  
dodała. Noszę się z nią jak z gorącym żelazem  
w kieszeni, tak mnie piecze.

— A! bo to wy kobieciećta!—rzekł Dominikanin.  
Wam zawsze trudno z językiem. Zbądź-że się



asindzka tej wielkiej tajemnicy. Książd Ambroży żartował sobie, ważności żadnej nieprzypisując temu, z czem mu się zwierzyć miano.

Staruszka pomilezała momentem, pochyliła się, zniżyła głos i, palec przykładając do ust, szepnęła:

— A, gdybym ja wiedziała co się stało z naszą panną i kto ją wykradł?

Cofnął się aż ks. Ambroży.

— Co-bo asiudzka mówisz! nie żartuj!

— Niema tu z czem żartować,—dokończyła Piotruska.—Dowodnie wiem z kim panienska nasza romans miała, do czego powodem była ta utrapiona Francuzka!

Książd uszom zdawał się nie wierzyć.

— Ale gdzież? jak? Co jejności w głowie?—ofuknął. Brednie, baśnie. W domu nikogo nie było, z kimby się spoufalić mogła. Myć tu przecie wszyscy żyjemy, patrzmy!

Ruszył ramionami.

— A widzieliżecie z kim się panna, pojechawszy do Lublina, pozajomila, i z kim potem każdego dnia za Dziewulami na kamieniu schodziła się razem z Francuzką? He?

Książd Ambroży, który kilka razy spotykał powracające z przechadzki od kamienia panie, rzucił się i zaczął słuchać uważniej.

— Któż to taki? kto?

Pomilezała chwilę Piotruska, potem schyliła się znowu; usta rękami otuliła i rzekła cicho:

— Młody Hojski z Sierhina.

Książd Ambroży wstał aż, posłyszawszy to.

— Nie może być!

— Jak mnie, ojeze, żywą widzisz! Ludzie są, świadki.

— Dziwne sądy i wyroki Pańskie! szepnął zicha ks. Ambroży.

— Mamyż my to przed państwem taić?—dodała Piotruska. A toż się nie godzi. Niech wiedzą, może co poradzą, może się znajdzie zguba.

Ks. ex-definitor, namysłiwszy się długo, rękami strzepnął.

— Moja dobrodziejo—odezwał się—to materya taka, że ja do niej się mieszać, dotykać nie chcę, ani znać, ani wiedzieć. Ja człowiek spokojny, palca między drzwi kłaść nie myślę. Rób asindzka, jak jej do serca Pan Bóg podda. Ni radzę ni odradzam,—a zlituj się nademną, nie mieszajcie mnie do tego—nie! nie!

Napróżno potem staruszka chciała coś dobyć z ojca duchownego, i wyrozumieć jakby, jego zdaniem, postąpić sobie była powinna.—Dominikanin milezał uparcie.

Nie zyskała więc nic na zwierzeniu mu się. Sekretu zaś takiej wagi długo utrzymać było niepodobiestwem: musiała albo sędzinie albo sędziemu opowiedzieć wszystko.

Biedna sędzinka ciągle jeszcze w łóżku leżała; do Czemeryńskiego odwagi nie miała staruszka. Wahala się jeszcze, gdy Sliwka, zawsze starający się czemś przysłużyć i względy pozyskać u pana, zasłyszawszy na wsi od bab o schadzkach u kamienia, obawiając się, aby go kto nie wyprzedził, pobiegł do jegomości.

Bez przygotowania, nieporządnie, spiesząc się, płacząc, Sliwka, piąte przez dziesiąte, wypaplał wszystko Czemeryńskiemu, do stóp się ścieląc i zaklinając, że przez adorację dla osoby jego, przynosi tak ważną wiadomość.

Czemeryński z początku nie rozumiał, potem nie uwierzył i pogniwał się, w furię niemal wpadłszy.

— Co ty mnie masz za dziecko, za człowieka obranego z rozumu! Oszalałeś!

— Niech-że jasnie pan pofatyguje się do starej Piotruskiej: ona wie wszystko dokumentnie. Jak to się okaże bajką, ja się kładnę, proszę mi dać sto bizunów.

— Fixat! — krzyknął Czemeryński; ale w tejsze chwili, jak burza przebiegłszy cały dom, wpadł do Piotruskiej.

— Co to jest? co ten bałwan Sliwka śmie pleść, żeby Leonilla miała jaką potajemną znajomość z synem tego łotra, szubienicznika!

Przestraszona trochę staruszka, gdy przyszła do siebie, odpowiedziała:

— Niech się jegomość nie gniewa. — Co prawda to prawda!

— Zkąd-że ty to wiesz?

Piotruska wywód cały zrobiła. Gdy wspomnia-

ła o Lublinie i o tych, co tam byli, Czemeryński natychmiast posłał po służbę. Ledwie mógł z gniewu się utrzymać przytomnie. Zaledwie ludzie pokazali się w progu, wpadł na nich, bizunami grożąc, ażeby mówili prawdę.

Furman i lokaj zeznali, że panicz z Sierhina, którego przecie z kościoła znali dobrze, codzień bywał na kwaterze, sprawunki nosił i pannę przeprowadzał. Lokaj dodał, że ludzie ze wsi widzieli niemało razy pannę z Francuzką na kamieniu godzinami siedzącą z młodym Hojskim.

Niemożna było poznać jakie to zrobiło wrażenie na Czemeryńskim, który wysłuchawszy ludzi, zakazał im pod najsroższą karą, aby się o tem mówić nie ważyli, i odpędził.

Przysiadł na krześle w izdebce Piotruskiej, podpierał się na rękę, zadumał, nieotwierając ust do niej, siedział z pół godziny, wstał i, nieżegnając się, wyszedł.

W swoim pokoju znowu siedział i chodził długo, stękał, mrucał; ale gdy wieczór podano i wyszedł do niej książd ex-definitor, który o wszystkim wiedział, w twarzy jego szukał napróżno śladu do odgadnięcia: co się w nim działo?

Mówił o rzeczach obojętnych, poglądał ostro, ale zdawał się spokojnym.

Poradzić się i poskarżyć nie miał Czemeryński przed kim, oprócz księdza. Sędzinie chorej nie śmiał się zwierzyć. Po wieczery wziął księdza ex-definitora do kancelaryi. Domyślił się książd Ambroży po co.

— Mój ojcie—odezwał się—jesteście mężem doświadczenia i dobrej rady: przyjdźcie mi w pomoc. Cieszyłem się ja zemstą nad wrogiem przedwiecznie a zuchwale; pomścił się wróg na mnie tak, że mi żywcem wyrwał wnętrzności!

Ojcie mój! mam dowody, że ten niecnota na cześć mojego domu sidła zastawił. Przekupili Francuzkę, co była przy Leonilli; Strukezaszyc synowi pomagał do wykradzenia jej. Córkę moją, dziecko najdroższe, jedyne, mają w rękach.

A! teraz rozumiem dlaczego mi lasu ciąć nie bronili. Co ich las przy krwi mojej, przy czei mojej, przy sieroctwie mojem?!

Leonilka żoną tego rozbójnika! tego przybłądy, łotra...

Czemeryński zakrył oczy i ryknął z bólu.

— Panie sędzio dobrodzieju! mityguj-że się, na rany Pańskie — zawołał Dominikanin. To nie są może rzeczy pewne, to domysły i gadaniny.

— Nie, to prawda, bo Bóg mnie ukarać chciał i wybrał to, co najstraszniejszym być mogło: upokorzył.

Nie widzisz-że ty w tem ręki tego przewrotnego starca? jego rachuby i roboty? Niepocziwa Francuzka była jego narzędziem. To rzecz ukartowana, obrachowana—cios w samo serce!

Straciłem wszystko!

— Pozwól pan sędzia sobie tylko tę refleksję uczynić—odezwał się ks. Ambroży—iż, jak to wiem najpewniej od ks. Dagiela, tego młodego Hojskiego nie było w Sierhinie oddawna, i niema go.

— Ale to wszystko intrygi podłe! On się z nią gdzieś w sąsiedztwie może ukrywa.—Moje dziecko, moja córka, w rękach tych złoczyńców! — wołał Czemeryński. — Nic mi już nie pozostaje tylko umrzeć!

— Nie śmiem ani z pociechą żadną, ani już z uwagą występować,—odezwał się ks. Dominikanin. Trzeba ochłonąć i pilno rozważyć co czynić.

— Co czynić?—podechwycił gwałtownie sędzia—ale mi nie pozostaje nic tylko kamień do szyi i w wodę.

Narzekania, przekleństwa, łzy, rozpacz zajęły kilka godzin. Kapelan, widząc ten stan sędziego, odstępować go nie chciał. Udało mu się wreszcie religijnymi uwagami i powagą kapłańską ukoić nieco Czemeryńskiego. Dobrze z północy było, gdy się rozeszli.

Mszy nazajutrz nie mógł już mieć kapelan, a sędzia też z sypialni nie wychodził nawet do żony, posławszy do niej zawiadomienie, że bardzo był zajęty. Pierwsze wrażenie wczorajsze stępił dzień drugi; przyszła różwaga: jak wyjść z tego położenia, co począć ze Strukezaszycem—gdzie szukać córki?

Sędzia był najmocniejszego przekonania, że

wszystko to stary sąsiad naprzód ułożył, osnuł i że w tem była ręka jego.

Nie było innego ratunku dla córki, dla czei domu, jak zezwolić na nienawistny związek. Lecz jakże go pogodzić z podaniem ręki Strukezaszycowi, ku któremu Czemeryński czuł nieprzewyciężony wstręt i ohydę?

— Z nim za nie!

W tym stanie ducha drugiego dnia zastał Czemeryńskiego przybywający w interesie probostwa niby, w istocie zaś, wezwany potajemnie przez ks. ex-definitora, proboszcz ks. Dagiel.

Dominikanin doskonałym był przy konfessyonalu, miłym w towarzystwie, ale kwestye praktyczne życia były mu obce. Nie umiał, ani się kusił ich rozwiązywać. Dla uwolnienia się od nowej napaści sędziego sprowadził ks. Dagiela. Tego mogli się lękać wszyscy; on się nie lękał nikogo i niczego.

Sędzia, mimo, że proboszcz przemówił zaraz o interesie, odgadł, iż go sprowadzono.

— Widzisz przed sobą, księżu proboszczu—odezwał się ze zwykłą patetycznością swą — najniebezpieczniejszego w świecie człowieka; zbieżonego, upokorzonego, przywiedzionego do rozpaczy.

Mało to, że mi wyrwano córkę jedyną,—wiesz w czyje dostała się ręce?

— Wiem—odparł spokojnie proboszcz.

Czemeryński się cofnął.

— Zkądże to jegomość wiesz? czy już wyszło z mojego domu?

— Wcale nie — rzekł ks. Dagiel — wiedziałem o tem wprzód niż wy, panie sędzio.

— Wprzód niż my?—a to jakim sposobem?

Ks. Dagiel się obejrzał.

— Chodźmy się rozmówić na osobności—odparł — dowiesz się pan o wszystkim.

Z pokorą prawie, poszedł, dawniej dumny, Czemeryński za księdzem, który w swej sukni wytartej miał powagę, nakazującą poszanowanie.

Gdy weszli do pokoju, do którego i ks. ex-definitora, jakby za świadka i pomocnika, wprowadził za sobą proboszcz, Czemeryński nie odzywając się już, czekał co mu ks. Dagiel objawi.

— Mieszamy często Pana Boga — odezwał się proboszcz, tam gdzie On niepotrzebuje się przyczyniać do dokonania sprawiedliwości; ale też często jest palec Boży w małych rzeczach i wyraźna ręka Opatrzności. Ja widzę ją w sprawie waszej, panie sędzio, z p. Strukezaszycem. Dawaliście obaj zgorszenie swoją zajadłością względem siebie.

— Ks. proboszczu! — przerwał Czemeryński — jam nie winien! Przecież dać się tak zgubić, nie bronią, i robak nie może. Ten człowiek dojadł mi, życie zatracił! ja mu nie mogłem i nie mogę przebaczyć.

— I Pan Bóg też waćpanu nie przebaczył—rzekł surowo proboszcz. Doświadczyliście mściwej ręki Jego, gdy wam najmilsze dziecię odebrał.

— Za cóż mnie! za co mnie!—począł sędzia,—albo to ja jeden winien! Jest-li wina jaka to w oboju: a to ma być sprawiedliwość, gdy na mnie jednego spadła chłosta!

— Nie na waćpana jednego! — zawołał ks. Dagiel. Bóg jeden tylko wie, który z was ukarany srożej. Wiesz pan com słyszał z własnych ust siostry Strukezaszycy, gdy raz powziął podejrzenie, że syn jego mógł się w córce waszej rozmiłować, — wiesz co naówczas powiedział: — Wolałbym go na marach widzieć niż mężem sędziarki.

Czemeryński podniósł głowę, i dumnie, i gniewnie, i zdziwiony.

— Proszę! — krzyknął szydersko — taki mi wielki człek! Frant jakiś! A któż sprawcą tego wszystkiego! Nie z jego-ż to się naprawy stało!

— Z jego naprawy! — rzekł ks. Dagiel, ramionami ruszając. Co się waćpanu dzieje, panie sędzio? On o tem nie wie, nie domyśla się tego, nie przeczuwa, a gdyby się dowiedział, nie ręczę, czyby się syna wyrzec nie był gotów.

Sędzia prychnął po swojemu i czuba potarł.

— Jesteście tego pewni? — spytał niedowierzająco.

— Jestem tego najpewniejszy — odparł ks. Dagiel.—Miał jakieś podejrzenie na syna, i sama ta myśl skłoniła go do wysłania go gdzieś na wygnanie, aż w Witebskie.

— Seryo?—spytał Czemeryński, oddychając ja-koś wolniej.—Jegomość dobrodziej nie żartujesz?



Ks. Dagiel potrząsł swoją starą rewerendą.  
— Kto taką suknię nosi, temu się żartować nie godzi—zawołał surowo—i nie godzi mu się rzucać słowy lekkimi!

— Ależ-to, co ja słyszę od waćpana dobrodzieja—poprawił się, głos zniżając sędzia, zmienia zupełnie postać rzeczy. Więc Strukczaszyc tryumfuje!

— Z czego?

— Z tego, że mi córkę porwali!

— On o tem nie wie!—zawołał ks. Dagiel.

Czemeryński zadumał się. Stali dotąd w pośrodku pokoju, a staremu nogi drżały: poprosił siedzieć. Zadumany był, lecz gniew z wolna z twarzy mu schodził—łagodniał. Ks. Dagiel badał go, spoglądając nań uważnie.

— Słucham, wierzę słowom waćpana dobrodzieja, a razem wszystko to mi się w głowie nie mieści—odezwał się Czemeryński.—Miej waćpan litość nad sercem rodzicielskiem, powiedz mi co wiesz, uspokój mnie. Nie pozostaje mi nic, tylko przebaczyć synowi tego rozbójnika, co tak zbójcko mi porwał córkę, i co najprędzej ślubem ich połączyć!

— Oni ślub wzięli, tego samego dnia, gdy panna uciekła—odparł ks. Dagiel.

Zerwał się z siedzenia Czemeryński i padł zaraz na nie.

— Gdzie? jak?

— Ja im dałem ślub—ja!—rzekł ks. Dagiel.

Sędzia się przeżegnał.

— Wy? wy?

— Musiałem dać ślub, aby nie dopuścić związku bez błogosławieństwa kościoła.

Ale, słuchaj waćpan,—dodał ks. Dagiel—wszystkiego się dowiesz. Znasz mnie od lat wielu, że do żadnych intryg nie mieszam się. Nie wiedziałem też o niczem w świecie, gdy przyjechała do mnie wieczorem panna Blandyna Strukczaszanka, ledwie żywa, i wszedłszy do nóg mi upadła.

Ledwie mógł, uspokoiwszy ją, dowiedzieć się, że—tej nocy pan Erazm Hojski, za zgodą i umową z córką waszą, miał ją uprowadzić z noclegu, i wprost przywieźć do mnie, błagając o ślub. Panna Blandyna, struchlała ze strachu, zalewała się łzami.

Dania ślubu odmówiłem, reflektując, iż nieważny-by był, i że się nie godziło dzieciom bez wiadomości i woli rodziców, bez ich błogosławieństwa, stawać u ołtarza.

Zważywszy jednak, że porwaniu córki waszej, a raczej dobrowolnej jej ucieczce, zapobiedz nie mogłem; że bez ślubu pobyt ich dłuższy z sobą, ściągając na ich oboje sromotę—dałem się nakłonić.

Czemeryński, za głowę się schwywszy, słuchał, ze łzami w oczach.

— Trzeba było pobłogosławić — dodał ks. Dagiel,—gdy tak czy nie, byliby z sobą dalej uciekali! Musiałem!—westchnął proboszcz.

Około północy wprost powóz z niemi zatoczył się przed kościółek. Świadcami byli zakrystyan i organista, no, i panna Blandyna, która ich nie odstępowała. Byłbym się może oparł — dokończył proboszcz, gdyby nie ta myśl, że Bóg tym sposobem chce położyć koniec nienawiści i zwadzie dwóch rodzin i przejechać je ślubem dzieci.

— Nigdy w świecie! — wybuchnął, rzucając się Czemeryński. Córka, córka mogła sobie wyjść choć za parobka, ale ojca jego znać ani wiedzieć nie chce! A my, jakośmy byli, tak zostaniemy—na noże!

— Szkoda, że o tem nie wiedziałem wprzód—rzekł ks. Dagiel, bo byłbym ślubu nie dawał.

— Ślubu! ślubu!—bąkał Czemeryński—najpierw po takim ślubie rozwód jest bardzo łatwy; powtóre, choćbym zięcia akceptował, to jego ojca — nigdy! nigdy!

Po chwili sędzia zawołał, jakby się budząc:

— A gdzież oni są? gdzie się schowali przed nami!

— Daję panu słowo, że o to ani pytałem, ani wiem o tem. Jeśli wie kto — chyba p. Blandyna.

— Oni być muszą w okolicy? — rzekł jakby do siebie Czemeryński,—ja ich wyszukam.

Myśli miał roztargnione i dodał nagle:

— A Leonilka, mój ojeze? czy płakała? jakże ją znalazłeś?

— Zupełnie spokojną i prawie wesołą — rzekł proboszcz.—Była tylko trochę zarumieniona i zmęczona. Pan Erazm miał daleko bardziej strwożoną minę.

Namarszczył się sędzia.

— Zatem Strukczaszyc—wolałby go widzieć na marach!—odezwał się.

Otóż acan dobrodziej masz z tego miarę człowieka: o własnem dziecku, o jedynaku, tak się wyraził. Cóż to za serce? co za tyran!

— Mógł to powiedzieć w chwili zapomnienia się—rzekł proboszcz.

— Więc mu dla syna Czemeryńskiej zamało!—mówił sędzia szydersko — cóż? Księżniczki-by chciał?

— Gorzej, panie sędzio — wtrącił ks. Dagiel — panna Blandyna mi powtarzała, że wolałby prostą chłopkę niż waszą córkę, taką grzeszną ma ku wam nienawisć.

— Ja mu ją płacę z nawiązką! — rozśmiał się gorzko Czemeryński.—Wierz mi, ojcze—szatanem się tak nie brzydę jak nim. Podły i nikczemny jest.

Jednemu się dziwię—dodał—że to nieszczęście, którego ja padłem ofiarą, nie on zgotował, że o niem nie wiedział,—a z tego się znowu cieszę, że mu ono będzie cięsem ciężkim! że posieje między nim a synem niezgodę,—że może ich rozłączyć! To dobrze! to dobrze!

Wstał proboszcz z krzesła.

— Panie sędzio—zawołał z powagą—mową tą bezbożną nie wywołuj sroższej jeszcze kary Bożej na siebie! Dotknął cię Bóg! poprawy chciał: nie pomogło — patrz, by chłosta nie przysła stokroć cięższa! Ej! ej!

Zamilkł Czemeryński, lecz widać było, że to uczynił tylko przez respekt dla proboszcza. Nie zmięknął wcale.

Ksiądz ex-definitor, chcąc złagodzić nieco rozmowę, wtrącił:

— Pan sędzia kocha swe jedyne doięcie i, pewien jestem, dla jego szczęścia i spokoju, wiele poświęci. Wszystko się, da Bóg, ułoży szczęśliwie. Spojrzał Czemeryński.

— O szczęściu! o szczęściu już mowy niema dla mnie — wykrzyknął — splamiony jestem tem, że zmuszony dotknąć się tego plugawego rodu. Ratować się muszę od hańby—i dziecko odzyskać—to pierwsze.

— Bąkałeś pan o rozwodzie — przerwał proboszcz — sądzę, że należałoby myśl tę porzucić. Córka pańska przywiązana się zdaje do męża, i widać w niej charakter. Sama mi powiedziała przy examinie, że ona pierwsza chciała być uwieziona i skłoniła do tego Hojskiego.

Czemeryński poskoczył.

— Mówiła to?—zawołał.

— Mówiła to bardzo wyraźnie, bardzo stanowczo. Hojski-by się był nie ważył na taki krok bez jej przyzwolenia.

— Al! to ta podła Francuzica ze swemi romansami—zakrzyczał Czemeryński—głowę jej zawróciła. Gdyby nie ona, nigdyby nie przyszło do tego. Szczęście, że uciekła, czując, że się to wyda. Daję jej naukę!

(Dalszy ciąg nastąpi)

## LISTY Z ZAGRANICY

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wiosna. — Wystawa Paryzka. — Niemcy. — Kongres literatów. — Jego zadanie. — Społeczność i literatura. — Korzyści ze zjazdu i trwanie jego. — Wystawy przyszłe. — Niemcy. — Napływ cudzoziemców. — Belgia. S. p. Karolina Graviere. Życie i dzieła. Urywki z dziennika autorki. — Śmierć jej. — Pamflet Gutzkowa *Djonysius Longinus*. — Krytyka Ebersa. — Stan teatrów. — Wagnerowskie opery. — Monachium. Lipsk. Berlin. Posa niemiecka. — Meiningenscy artyści. — Ich występy w Berlinie.

Od trzech tygodni mamy tu idealną wiosnę, tak piękną, ciepłą, spokojną, tak dogadzającą rozwijającej się roślinności, iż strach bierze, abyśmy jej w Maju nie przypłacili chłodem. Pankracy, Serwacy i Bonifacy, trzej święci, przynoszący mróz, zimny wiatr i słotę, jeszcze przed nami, i dopiero

około piętnastego bezpieczniejsi być możemy od mrozu. Tymczasem wszystko się uśmiecha i rozkwita, a gdyby nie groźba wojny, gdyby nie bezrobocie, gdyby nie zastój w handlu, gdyby nie apatya w parlamencie, gdyby nie tryumf Francji na Wystawie, Niemcy byliby w tegorocznym Wonne-Monath bardzo szczęśliwi. Wśród tych kwiatów i woni czarne punkta na horyzoncie—jak zawsze.

Jednym z nich dla Germanii jest ta, przed paru dniami otwarta, tak świetnie, Wystawa w Paryżu. Długo nie wierzono w to, ażeby mogła przyjść do skutku; potem Niemcy odmówiły w niej udziału; donoszono, że i inne państwa przykład ten naśladować miały, że, conajmniej, zostanie ona odroczone, że nie będzie na Walpurgisnacht gotowa; tymczasem francuziska się uparły,—pracowali dniem i nocą, nie zważali na nic, i pierwszego Maja, mimo burzy i deszcza, Wystawa otwarta została.

Pisma niemieckie, z godną uznania jednogłównością, mówią teraz, iż wszystkie poprzedzające ekspozycje—zaćmiła! W całej świetności jednak wystąpi ona dopiero w Czerwcu.

Mnożstwo rozmaitych kongresów przysposabia się zarazem w Paryżu, między innymi zjazd literatów, któremu prezydować ma Wiktor Hugo. Głównie zajmować się on będzie kwestyą własności literackiej i położeniem literatów, stanem ich, niewszędzie najszczęśliwszym. Projektowaną ma być międzynarodowa kommissya stała czuwająca nad interesami literackimi.

Nie wątpimy, że zjazd, złożony z reprezentantów niemal wszystkich krajów, ciekawy nam da materiały do poznania stanu piśmiennictwa i jego stosunków w różnych państwach, prawodawstwach i okolicznościach; lecz, ażeby to ciało zbiorowe, przy najlepszych chęciach, mogło wpłynąć na polepszenie losu pracowników gdziekolwiekby — jest więcej niż wątpliwem.

Losy piszących zależą przeważnie od stanu społeczeństw, dla których pracują, od oświaty narodu, rozpowszechnienia języka, dobrobytu ogólnego, — słowem od warunków, jakich żaden kongres i narada zmienić nie może.

Zadna w świecie siła, oprócz tej, która z głębin własnego życia wytryska, nie zdoła naprzykład poruszyć księgarstwa w Krakowie i Lwowie, wydawnictw rozbudzić, czytelników pomnożyć i piszącym dać zachęty do pracy. Składają się na ożywienie literatury żywioły na pozór zupełnie jej obce; środkami zaś sztucznymi mnoży się często drogocenna makulatura,—nie więcej.

Społeczeństwo tworzy sobie piśmiennictwo, a piśmiennictwo rozbudza, mnoży i zagrzewa pisarzy.

Ani protekcje rządów, ani stowarzyszenia pomocnicze na wiele się nie przydadzą. Do rozbudzenia życia umysłowego potrzeba dobrobytu, spokoju, normalnych warunków; jałmużna dla podupadłych skrybentów będzie rzeczą piękną i pocziwą, ale to rzecz miłosierdzia. Za czasów gdy w Belgii bezkarnie przedrukowywano francuzkich pisarzy, obdzierając ich i wydawców, mimo to lepiej się niż dziś literatom działo.

Wiktorowi Hugo wielka się krzywda nie stanie, gdy go na język madżyarski lub rumuński bez pozwolenia przetłómaczą.

Kongres literacki rozpoczyna swe czynności dnia 4 Czerwca, a kończy je dnia 16—ma więc dościsły czas do rozpatrzenia się w zadaniach. Najcenniejszem dziełem jego to będzie, że zbliży i zapozna ludzi, rozproszy uprzedzeń wiele i nauczy geografii i historii, te mianowicie narody, które do dziś dnia nawykły to, co po za ich granicami leży, uważać za barbarzyństwo.

Z doniesień i korespondencji pisanych z Paryża widać, że napływ ciekawych cudzoziemców w tych dniach pierwszych był olbrzymi. Czy się on później nie zmniejszy—odgadnąć trudno.

Wystawa Paryzka, jeśli się nie mylimy, będzie na długi czas jedną z ostatnich, bo nierychło Europa na drugą ważyć się zechce. Z kolei na Niemcy przypadałoby otworzyć jeszcze jedną, ale rozumny obrachunek sił własnych (licząc w to i tę siłę atrakcyjną, na której zbywa Niemcom zupełnie) — nakazuje powstrzymanie się i odłożenie popisu do — kalend greckich.

W Paryżu, jak wiadomo, tylko sztuka niemiecka wyjątkowo jest reprezentowana, a tej się nie powstydzą Germania,



O ile z miejscowych pogłosek i przygotowań wnosić można, napływ Niemców do Paryża nie będzie wielki. Nie ma na to wpływu polityka, ale stan finansów klas wszystkich społeczeństwa, które zmuszone są przesilenie przebywać z przetrzymą oszczędnością. Wątpimy też, aby dzisiejsze kursa pieniędzy dozwoliły gościom z północy stawić się tak licznie, jakby chcieli. Anglia i Ameryka dostarczą najwięcej przybyszów. Włochy ściśle się też liczyć muszą z wydatkami. Franeya też przygotowaną się zdaje na opłacenie tryumfu pracy swej, obiecując sobie wynagrodzenie pośrednie w przyszłych stosunkach handlowych.

Zwracaliśmy nieraz uwagę czytelników naszych na ruch umysłowy w piśmiennictwie tego małego kraiku, który się Belgią nazywa, i który ma aż dwie literatury, obie dosyć żywo się rozwijające. Zarówno we francuzko-belgijskiej jak we flamandzkiej jest życia wiele, mało znanego poza granicami kraju, a zasługującego na bliższe poznanie. Powieściopisarstwo, teatr, dziennikarstwo, — kwitną i mają w sobie dosyć oryginalności, by odrębne zająć stanowisko, wyróżniające je od francuzkiego. Pomiędzy tymi pisarzami oryginalnymi ostatnich czasów, niepospolite miejsce zajmuje, u nas zupełnie nieznaną, autorka, zmarła d. 4 Marca tego roku, pani Karolina Gravière.

Nie jest to jej właściwe nazwisko, ale pseudonym, kobiety, która przez lat dziesiątek dorobiła się powszechnego uznania i obudziła pismami swymi żywe zajęcie.

Panną zwała się Estellą Crevecoeur; poszedłszy za mąż, znaną była pod imieniem pani Ruelens. Urodzona w r. 1831, w r. 1837 poczęła swój zawód pisarski od — *Medycy*, które nie zrobiły wielkiego wrażenia (wyszły pod imieniem Estelli). Probowała potem pisać powieści, używając różnych pseudonimów, aż do ukazania się w Przeglądzie trzymiesięcznym „Doświadczenia in anima vili“ (*Une experience etc.*) podpisanego: Caroline Gravière. Doświadczenie powiodło się szczęśliwie i imię to zostało autorce; z niem ona dorobiła się sławy. Znaczniejsza część powieści jej doczekała się przekładów na język flamandzki, angielski i niemiecki. Nie mamy ich po polsku, ale też, mimo niezaprzeczonego talentu, powątpiewamy, ażeby one u nas znalazły sympatyczne przyjęcie.

Karolina Gravière była jednym z tych duchów niespokojnych, rozgorączkowanych, które więcej może obudzają zajęcia niż współczucia. Oto kilka rysów z jej życia, które nam bliżej poznać ją dadzą.

Ojciec jej, z powołania notaryusz, połączony był węzłami pokrewieństwa z rodziną włoską Tripo-netti, od XVII wieku osiadłą w Bruxelli. Z trzech córek adwokata tego nazwiska, jedna była matką Karoliny, druga, niezamężna, ciotka, mieszkała z nią razem. Rodzina ta, z pięciu osób złożona, przeniosła się z Archennes do Bruxelli, i mieszkała przy ówczesnym placu S. Michel (dziś des Martyrs), wiodąc życie obyczajem mieszczańskim: oszczędne, spokojne dni powszednich, a czasu świąt zwykowne, — kłopotliwe dosyć i biedne. Życie nie mogło się tu zdrowo i swobodnie rozwijać; dzieci wychowywały się więcej o własnych siłach, niż według rozumnie obmyślanego planu. Młoda Karolina cierpiała, ściśnięta ciasnymi szrankami domu, który surowość matki i gderanie ciotki czyniły dla niej nieznośnym. Spragniona wiedzy i pracy, uczyła się czego tylko mogła, po hiszpańsku, po włosku, po angielsku, po flamandzku, po łacinie, rysunku i malarstwu. W jednej z powieści swych opowiada o sobie: „Nauczyłam się pięciu języków, nabiłam sobie głowę mrzonkami filozofów, marzeniami poetów, niedorzecznościami, widzeniami... Wymieniłam prozę jakiegobądź dzieła klasyczne: ręczę, że je czytałam. Powąchałam pedanteryi — tak! Sprobowałam się ubrać w jej papierową zbroję, ale nie sposób było jedną minutę w niej wytrwać: serce mi bije nadto mocno“. (*Sarah*).

(Dokończenie nastąpi)

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

**Psalterz Dawidowy**, przełożony wierszem polskim przez *Kazimierza Bujnickiego*. — Toruń, nakładem własnym, w kommissie księgarni Nowej w Toruniu. 1878. 8-o miu. str. XXIV i 308.

(Dalszy ciąg).

Pojmujemy historyczny entuzjazm badacza, który, odkrywając rzecz nową, nieznaną sobie, a istotnie dobrą, skalę uznania swego rozszerza zaraz w nieskończoność i nie ma już słów na oddanie radości, jakiej z odkrycia swego doznał. Z tego stanowiska uważamy za wytlómaczone owo nazwanie przekładu Rybińskiego *cudnie pięknym*, i sami w przeszłość miłością zwróceniu, w pierwszej chwili gotowiliśmy już byli na zdanie uczonego badacza się zapisać; później jednak bliższe wniknięcie w całość nie pozwoliło nam, pomimo wielkich piękności Psalterza Rybińskiego w pojedynczych ustępach, uznać go za wyższy od Psalterza Kochanowskiego, którego przecież ani sam pan Maciejowski *cudnie pięknym* nie nazywa, ani nikt z dzisiejszych krytyków, w całości, jak jest, arcydziełem nie nazwie. Bo też niełatwa to rzecz stworzyć arcydzieło nawskroś z takiej księgi, jaką są Psalmi: dać przekład zarazem wierny i piękny; unikać powtarzania się form tam, gdzie jest tak wiele powtarzania się myśli w oryginale; mieć zawsze dla porównań nowe obrazy idealne, zawsze znaleźć wyraz dość silny a szlachetny; zawsze mieć na zawołanie rymy i nigdy nieczem budowy wiersza nie skazić — w tych 150 pieśniach, które są tyluż małemi poematami, a wszystkie, jakby z wnętrza jednego olbrzyma-poety wyszły, jedno noszą na sobie piętno jakiejś niewysłowionej głębokości serca! W p. Maciejowskim, choć może on sam nie zdawał sobie z tego liczby przy nazywaniu Psalterza Rybińskiego *cudnie pięknym*, występowało jeszcze czynnie uprzedzenie do Kochanowskiego, uprzedzenie, któreby nawet nienawiści mianem ochrzcić można. Gdyby uczony człowiek uprzytomnił był sobie w umyśle istotne a liczne piękności przekładu poety Czarnoleskiego — byłby się niewątpliwie zawahał i skalę uwielbienia dla Rybińskiego obniżył.

Z tem wszystkiem, w całości swej uważany, Psalterz księdza protestanckiego, jeżeli nie dorównywa Psalterzowi, który literatura nasza Kochanowskiemu zawdzięcza, to nie o wiele niżej od niego stoi. Dziwna rzecz, że Mickiewicz w *Prelekcjach* swoich, wyniósłszy tak wysoko przekład katolicki, ani jednym słowem o protestanckim nie wspominał: miałaby krytyka podzielać namiętności religijne; miałaby piękność, ten anioł górujący nad światem, iść poziomem szlakami naszymi, być katolicką raczej niż protestancką, według indywidualnej wiary tego lub owego krytyka lub historyka literatury? Psalterz Rybińskiego zasługuje na to, aby o nim mówić i cudzoziemcom i swoim; zasługuje na to, aby go dzisiejsze pokolenie umysłowo żyjące poznało, aby go w świątyniach protestanckich do śpiewów używano; zapomniawszy o nim, jak się zapomniawszy o wielu rzeczach z przeszłości, ryczałtowymi orzeczeniami zastępując prawdziwe, sumienne, sprawiedliwe sądy.

Pierwszą, a kardynalną, zasługą Rybińskiego jest to, że nigdzie w przekładzie jego niema niejasności; tłumacz przez własne wyrozumienie tekstu zniósł ją tam, gdzie była w oryginale. Drugim przymiotem wybitnym jest więcej z przekładu duch religijny, szczerzy, żarliwy: widzisz tu pieśni istotnie do śpiewania w domach modlitwy przeznaczone, nie zaś poezye dla świeckiej spisywane uciechy. Niejeden psalm przypomina kantyczki, rytmem swoim, naiwną prostotą lub rubasnością swych wyrażań. Jest wiele bardzo silnych — które wyrazową potęgą nad Kochanowskim górują (Psalmi: V, VI, XIX, XXXV, XLII). Niekiedy rzewna, gorąca wiara wydaje z siebie wyrażenia filozoficzne z pojęć oderwanych, jakich niema ani w prozie, ani w Kochanowskim. (Tak np. w psalmie VI poeta przez usta tłumacza woła;

A ty, mój miły Panie,  
Rychłóż odpoczywanie  
Dasz memu sumieniu?

W psalmie VIII, tak pięknie zresztą przełożonym przez Kochanowskiego, wielkość człowieka przedstawiona jest Bogu w słowach:

*Przełożyłeś go nad czyny swoje,  
Aby za zdaniem swoim wdał się niemi;  
Wszystko pod jego nogi poddałeś,  
Słuchać jak Pana wszem rozkazałeś.*

W Psalmie LI znajduje się wyrażenie: „A będzie raczył sam we mnie *sprawić wyspięcowanie* Twej sprawiedliwości“.

W psalmie XXXVI sąd Boga „jest jak przepaść głęboki“. Takiego zwycięgo a silnego wyrażenia niema w Kochanowskim.

We wdzięczną formę, lepiej niż u Kochanowskiego, ujęte jest rzewne wyznanie miłości ku Panu w ps. XIX:

Złoto nie w tej cenie,  
Ni drogie kamienie,  
W jakiej są prawa Twoje;  
Nie tak miodu sobie  
Jako wierzyć Tobie  
Smakują usta moje.

A dalej: Daj, by ust śpiewanie,  
Sereca rozmyślanie  
Bywało z chwałą Twoją;  
O pocieszycielu,  
O mój Zbawicielu,  
Rządź-że mię wola swoją.

W tym samym psalmie lepiej od Kochanowskiego maluje Rybiński wspaniałość słońca:

Tak się światu stawia,  
Jak gdy wdzięczne lice,  
Wychodząc z łożnice,  
Oblubieniec zjawia;  
Więć jak olbrzym, z leży  
Porwawszy się, bieży  
Wokół świata wszystkiego:  
I próżno się bronić,  
Albo się gdzie schronić  
Przed promieniami jego.

W psalmie LI pokutnik woła do Pana swego:

Daj mi usłyszeć w rychle w radości  
Głos wesolego poselstwa Twojego:  
A pokruszone w Twym gniewie kości  
Do *wykrzykiania* powstaną wdzięcznego.

W tym samym psalmie to, co Kochanowski wyraża słowy:

Nie odmawiajże mię od swej obliczności,

Rybiński oddaje przez:

Nie *odmiataj* mię od oblicza swego.

Najwięksi poeci nasi nie powstydziliby się takiej siły.

Pieśń: „*Kto się w opiekę...*“ (ps. XCI) u Rybińskiego jest tylko zmienioną w układzie pieśnią Kochanowskiego. Tłumacz późniejszy wprowadził tu tylko rytym odmienny i wiersz 11-zgłoskowy zastąpił 8-i-7-zgłoskowym; nad arcydzieło Kochanowskiego wznieść się nie mógł i jest znacznie niższym. Przekład Jana z Czarnolesia pięknoscią swoją tak uderzył współczesnych, że go protestanci do swoich pieśni kościelnych włączyli, niby wytwór ogólnie narodowego znaczenia, szranki uprzedzeń i waśni religijnych łamiący. W psalmie VIII śmielej się już z Kochanowskim Rybiński zmierzyć może; ale za to znowu daleko w tyle poza nim zostaje w psalmach: LVIII (historia stosunku Izraela do Boga) CXXIII, CXXXIII, CXXXVII (*Super flumina Babylonis*) CXXXVIII, CXLVI. Wogóle, lepiej mu się udają pieśni, niż poezye z przeciąglejszym, poważniejszym rytmem, i pierwsze są też liczniejsze u niego niż drugie, wprost przeciwnie niż w Ko-



## Z DZIAŁU PRZYRODY

przez

Prof. Dr. Karola Jurkiewicza.

chanowskim; są one też i oryginalniejsze. Wezycując się w przekład, poznajemy, że tłumacz miał przed sobą pracę swego poprzednika. Psalm XVIII, z odmianą tylko wierszomiaru i dodaniem dwóch nowych wierszy, jest zupełnie psalmem Kochanowskiego. Kilka innych psalmów wydało się nam tylko lekkimi przeróbkami przekładów poety Czarnoleskiego. Oczywiście, takie powtórzenia i przeróbki są tylko wyjątkami: w przemagającej większości widnieje praca samoistna. Sam text nieraz Rybińskiemu podobieństwo narzucał.

Forma pieśniowa — przy podkładzie pod muzykę, we wszystkich 150 psalmach — pozwoliła tłumaczowi protestanckiemu wprowadzić większą różnorodność w rytmie, w budowie wiersza. Kombinacje architektoniki wierszowej są u niego liczniejsze niż u Kochanowskiego. Spotykają się wiersze wszelkich miar od 12 aż do 4 zgósek. Rymy rażące nas dzisiaj swoją pospolitością — nietylko w Rybińskim, ale i w Kochanowskim, choć ten ostatni okupuje pospolitość dziwną nieraz znowu śmiałością — nie raziły pokolenia żyjącego na schyłku XVI i początku XVII wieku; w śpiewie zwłaszcza nie dostrzegano nawet niewłaściwości łączenia końcówek męskich z żeńskimi w jeden rym, co się nieraz w Rybińskim przytrafia. Na tym punkcie przypomnieć należy, że tłumacz psalterza protestanckiego skrepowany był przez gotowe już melodie i sam nawet rytm do nich stosować musiał.

Język w Psalterzu Rybińskiego, niebędąc szlachetniejszym, jest już bardziej, choć nieznacznie, wyrobionym w formach swoich. — Dwadzieścia lat czasu rozdziela oba przekłady, i te lat dwadzieścia przyniosły już odmianę, którą dostrzedz dzisiaj można. Forma drugiego przypadku *ziemie* zam. *ziemi* znika prawie zupełnie. Spotykamy ten sam wyraz *brant*, co i u Kochanowskiego, to samo *prze*, to samo *sumnienie*, tę samą *doległość* i *lutość*. Nie dostrzegliśmy już *wspomnienie*, ale jest *wyspięwować*; a *posilnić* (dodać siły w ps. XXXI) nie przypominamy sobie z Kochanowskiego; również nowem wydało nam się *zuciekać* (CII), tam, gdzie poprzedni tłumacz psalterza używa *ulecieć* (lata uleciały — u Rybińskiego: *zuciekaty*), oraz *wzdalon* (trzymany zdala) w ps. XLII. Podanie tych przekładów nie wyczerpuje wcale porównania mowy w obu tłumaczeniach, i dać może tylko pewne wyobrażenie o języku Rybińskiego.

Codo stopnia wierności w obu przekładach zestawienie ze sobą kilkunastu psalmów przekonało nas, że przekłady te znajdują się w równowadze: jeden nie jest wyższym od drugiego — czyli, że obaj tłumacze nie zawsze wiernie idą za psalmistami izraelskimi; zachodzi pomiędzy nimi tylko różnica miejsce, w których się dopuszczają odstępstwa od textu. Rybiński uzupełnia go po swojemu; Kochanowski po swojemu: pierwszy więcej jako wyznawca religijny, któremu chodzi o uczucie i myśl wyznaniową; Kochanowski jako poeta, który dba o rzecz świecką, o piękno. Jak już powiedziano wyżej, Rybiński ma nad Kochanowskim wyższość większej jasności przy oddawaniu zaciemnionych ustępów textu.

Czytelnik wybaczy nam to rozszerzenie się nad rzeczą zasługującą na to przynajmniej, aby o niej wiedziano; nowy zaś tłumacz psalterza za złe nam nie weźmie, żeśmy się trochę dłużej zatrzymali przy jednym z jego znakomitych poprzedników. Niewiele już rysów nowych dodamy do tego przypomnienia prac przeszłości w dziedzinie, z której obecnie pan Bujnicki owoc swego także trudu powszechności naszej przynosi.

Czwarty z rzędu, a trzeci protestancki, przekład wierszowany psalterza miał wyjść z pod pióra Salomona Rysińskiego, zbieracz i twórca przyszłów. Joher wymienia ten psalterz pod Nr. 2397, na podstawie Bentkowskiego. Książka ta musi dziś być niezmiernie rzadką, jeżeli się jeszcze dochowała w całkowitości. — Nie znamy jej wcale i nigdzieśmy charakterystyki jej zawartości nie spotkali. *Psalterz Rysińskiego* wydany został w roku 1614 w Lubegu nad Niemnem.

(Dokończenie nastąpi).

Zużytkowanie szwajcarskich lodowników. — Towarzystwo Grindelwaldzkie i eksploatacja lodu. — Handel tym produktem. — Stół zastawiony przez przyrodę dla jej stworzeń. — Współbiedniacy i pasożyty. — Człowiek-żywiciel krwią własną. — Zwierzęta chlebobodawcy. — Dzieje żywota tasiemców. — Mięso węgrowate i jego skutki. — Kołowaczna owca. — Skutki racjonalnej higieny w Szwajcaryi. — Choroba miejscowa w Islandyi i Abissynii. — Trychiny. — Pasożytnictwo jako odwieczne prawo harmonii świata.

(Dokończenie)

Taka jest historia każdego naszego tasiemcia. Długo bardzo nie umiano sobie wytłómaczyć, z jak się on bierze w zdrowym człowieku. Przypuszczano zupełnie bezzasadnie, że wszystkie nasze wnętrzniki, inaczej *glistami* poprostu nazywane, wytwarzają się samodzielnie w przewodzie pokarmowym, — z cukru, ze słodczy, z niestosownych pokarmów, jak zwykle mówiono.

Dzisiaj wiadomo niewątpliwie, że soliter powstaje z jajka własnego, przechodzącego wyżej wskazane przemiany i wędrówki. Niech tylko swojska nasza świnia spożyje, jak to pospolicie bywa, kilka pierścieni lub tylko jajek solitera, a natychmiast jajka w jej żołądku rozwijają się na ową kulkę galaretowatą, następnie na owego robaka złożonego z główki i szyjki, który przez ściany żołądka przegryza się, sadowi w tkance mięśniowej, w niej otorbia i wtedy stanowi chorobę świni, zwaną w codziennej mowie *węgrowacizną*, bo owe otorbione i drzemające w swych pęcherzykach wnętrzniki, są właśnie dobrze znanymi *węgrami*. Jeżeli tedy człowiek zje kawałek podobnie węgrowatej wieprzowiny, czy to w postaci surowej szynki, czy mięsa ugotowanego lub upieczonego, ale w którym wysoka temperatura nie zdołała skutecznie zabić otorbionego wnętrznika, co zresztą często bardzo się zdarza przy gotowaniu lub pieczeniu znacznych kawałków mięsa, wtedy ów wnętrznik budzi się w żołądku i w kiszki, zmienia się na gatunek solitera (*Taenia solium*) najpospolitszego u Europejczyków. Drugi gatunek solitera, abissyński, *Taenia mediocanellata*, różniący się od poprzedniego brakiem haczyków pomiędzy czterema przysawkami głowy, dostaje się do organizmu z niedogotowaniem lub niedopieczonym mięsem wołowym. Trzeci wreszcie gatunek, *Taenia nana*, właściwy jest wyłącznie tylko Egipcyanom.

Rzeczywistość wymienionych faktów, niejednokrotnie bezpośrednimi doświadczeniami stwierdzoną została. Tak dr. Küchenmeister, uzyskawszy na to odpowiednie pozwolenie, zadał zbrodniarce za morderstwo na śmierć skazanej, pewną liczbę węgrów z mięsa wieprzowego, w rosole, bez jej wiedzy, na cztery doby przed straceniem. Przy badaniu pośmiertnym, w kiszki jej znaleziono zawiązki solitera. Doświadczenia odwrotne, a mianowicie umyślne poddawanie do spożycia swiniom jajek ludzkiego solitera, wywoływało ich węgrowatość.

Stanowczym więc dzisiaj jest naukowym pewnością, że węgiel świni jest poczwarką, jedną z form rozwoju ludzkiego solitera, i że dla nabycia tego ostatniego, potrzeba spożyć tylko kawałek węgrowatej wieprzowiny.

Podobne doświadczenia wykazały, że i u zwierząt przeżuwających roślino-żernych, więc u kozy, owcy i t. p., wnętrzniki dostają się do organizmu drogą pokarmów. Owca naprzykład, która spożyła z trawą jajka wnętrznika *Taenia coenurus*, złożone przez psa, dostaje w mózgu otorbionej, o kilku głowach *wodnicy* (*Echinococcus*), wywołującej chorobę znaną pod nazwiskiem *kołowaczny owcezy*. Za to pies znowu, po spożyciu podobnego owczego mózgu, nabywa w swym przewodzie pokarmowym tyłu tasiemców *Taenia coenurus*, ile spożył główek owej wodnicy.

Fakta te, że stanowiska już wyłącznie naukowe- go bardzo ciekawe, mają jak widzimy i w zastoso-

waniu swoim do zdrowia ogólnego niezmiernie znaczenie, a nadto wyjaśniają pewne okoliczności, które do ostatnich czasów niezrozumiałymi były dla przyrodników i lekarzy. Dlaczego naprzykład *tasiemcio szeroki* (*Bothriocephalus latus*), dawniej bardzo pospolita choroba w Szwajcaryi, dzisiaj stał się rzadszym bezporównania? Pożądany ten objaw był długo niewyjaśniony i nikomu z uczonych na myśl nawet nie przychodziło, czemu rzeczywiście przypisać go wypada. Tymczasem zwrot ten pomysłny w ogólnem szwajcarskiem zdrowiu, zależy na bardziej higienicznych urządzeniach w Genewie i w miejscowościach u brzegów jezior położonych. Dawniej wszystkie nieczystości wiejskie spuszczano do jezior; nie więc dziwnego, że jajka tasiemców z wodą dostawały się napowrót do organizmów ludzkich i zwierzęcych. Dzisiaj, kiedy nieczystości miejskie przerabiają się prawie wszędzie na nawóz, jajka owe niszczą się i nie dostają do łona żywego jestestwa. To wyjaśnia nam w bardzo prosty sposób znakomite zmniejszenie, a nawet te zniknięcie fatalnej choroby, dawniej w kantonach nadjeziornych bardzo pospolitej. Zwyczaj ogólny Abissyńczyków jedzenia surowego wołowego mięsa, tłumaczy w podobny sposób znajdowanie się solitera *Taenia mediocanellata* w przewodzie pokarmowym każdego prawie bez wyjątku krajowca.

Ludność Islandyi dotknięta jest znowu silnie plagą *wodnicy ludzkiej* (*Echinococcus hominis*), która w następujący sposób wyjaśnić się daje. Mieszkańcy hodują bardzo wiele trzody chlewnej, która często w wątrobie zawiera tego wnętrznika. Psy zjadające tę wątrobę, cierpią na solitera, który się w ich kiszki z owego wnętrznika wytwarza. Jajka solitera rozsiewane są później przez psy po roślinach warzywnych, któremi się ludność żywi, nie oplukując ich dostatecznie wodą wrzącą, a nawet zimną. Otóż w łonie człowieka jajka te przechodzą pierwszy swój okres rozwoju w postaci otorbionej, zawierającej główki solitera.

Od kad dzieje rozwoju solitera i trychiny należyćie poznane zostały, lekarze słusznie zalecają wystrzeżenie się wszelkiego surowego, niedogotowanego lub niedopieczonego mięsa.

Od niedawnych czasów smutnego używa rozgłosu *włośnik spiralny* (*Trichina spiralis*), zwany pospolicie *trychiną*, od greckiego wyrazu *trichos* (włos), bo jest jak włos cienki, a w mięśniach zwierzęcych znajdują go zawsze spiralnie zwiniętym. Nawiedza on i człowieka, ale od innych wnętrzników pasożytnych odróżnia się tem, że znosi jaja w łonie organizmu, w którym żyje. Po zjedzeniu mięsa zawierającego trychiny w otorbionej postaci, wnętrznik w skutek strawienia tego mięsa, wydobywa się ze swego więzienia, rozwija się szybko w przewodzie pokarmowym, gdzie samica jego wydaje potomstwo, przedzierające się przez ścianki kiszki i sadowiące w mięśniach, w których każdy pojedynczy okaz otacza się bardzo twardą powłoką, tworząc torebkę wielkości mniej więcej ziarenka prosa, i w niej spokojnie oczekuje chwili, kiedy wraz z zawierającym go mięsem spożyty zostanie, by następnie w kanale pokarmowym swego gospodarza całkowitego dokonać rozwoju i w nowem odrodzić się potomstwie. Jak fatalnie od razu pasożyt ten rozmnożyć się może, dowodzą spostrzeżenia prof. Leuckarta, który w 500 grammach (1¼ funta) ludzkiego ciała, znalazł 700,000, a Zenker 5,000,000 trychin. Nic dziwnego, że przy podobnem opanowaniu mięśni, niema już możliwego ratunku. Professor Eschricht z Kopenhagi oblicza na milion liczbę jaj u solitera złożonego z tysiąca stawów, a Dujardin powiada, że *soliter piłkowany* (*Taenia serrata*) trafiający się u psa, zawiera ich niekiedy 25,000,000. Gdyby z wszystkich tych jaj wytwarzały się dojrzałe solitery, dawnoby już one usunęły z powierzchni ziemi wszelkie inne żyjące twory. I to właśnie dowodzi nam najlepiej istnienia owej opatrnościowej harmonii, panowania odwiecznych a mądrych praw, które rządzą światem i jestestwami go zaludniającymi. Każdy z nas niejednokrotnie podobno zadawał sobie pytanie: jaki cel mają owe nieznośne stworzenia, czepiające się niepotrzebnie innych, dręczące je nieustannie, a nawet byt swój śmiercią ich nieraz podtrzymujące? Zapewne, że sądząc powierzchownie, są one plagą jedynie, bezużytecznym utrapieniem — a je-



dnakże, owe pasożytnictwo jest tylko jednym z odwiecznych praw harmonii ogólnej, tak prostem i naturalnym, jak prawo spadku na powierzchnię ziemi każdego niepodtrzymanego ciała, jak prawidłowe ruchy niezliczonych ciał niebieskich w przestworach światów. Wiele z tych pasożytów oddaje nawet znakomite przysługi swoim żywicielom, uwalniając ich od pewnych niepotrzebnych materij, któreby zdrowiu ich szkodzić mogły, a nawet przywracając zachwianą nieraz równowagę w czynnościach organizmu. Pasożytnictwo owo jest przede wszystkim prawem organicznej równowagi, jak się słusznie professor Joly wyraża. Jestestwa te przez warunki bytu swego narzucone innym jestestwom, utrzymują te ostatnie w pewnych ściśle określonych granicach, nie dających się bezkarnie przekraczać pod grozą uszczuplenia, a następnie zniszczenia warunków bytu, niezbędnych dla istnienia każdego roślinnego, czy zwierzęcego gatunku.

## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

W mieście Trembowli ma stanąć pomnik Zofii Chrzanowskiej, bohaterskiej przeciw Turkom miasta tego obroicielki (1675). Galicyjski wydział krajowy udzielił na ten cel subwencji; ze składek zaś powiatu Trembowelskiego zebrano już 4,000 zł. reń. Komitet zajmujący się tem dziełem, powierzył wykonanie posągu, professorowi modelowania przy lwowskiej szkole politechnicznej, panu Markoniemu z Warszawy, który już przygotował projekt. Na szczycie baszty, ułożonej z głazów trembowelskiego kamienia, postać bohaterki, wykonana z białego kamienia szydłowieckiego, ma stanąć ze sztandarem w ręku. Według doniesień prassy miejscowej, oblicze Chrzanowskiej przedstawia na planie szlachetny wyraz bohaterskiego uniesienia.

Siostra miłosierdzia, Fabre, Francuzka, przełożona nad wojskowym ambulansem Czerwonego Krzyżca w Beglerbey, zmarła na tyfus i pochowana została w Konstantynopolu z wielką wspaniałością, świadcząca o wysokich zasługach zmarłej i czci, jaką w zamian dostawała. Cała ambasada francuzka, oraz członkowie Czerwonego Krzyżca postępowali za trumną, której towarzyszył bardzo liczny orszak ludu. Katolicki biskup Konstantynopola przewodniczył uroczystości.

Akademia umiejętności w Bordeaux, przyznała pannie Eugenii Pierre medal brązowy za dzieło: *Powołanie tegoczesnych kobiet*. Ta sama akademia przyznała na konkursie poezji medal srebrny, to jest pierwszą nagrodę, pannie Maryi Leroyer de Chantepie, za poemat: *Stephora*. Ubiegających się było 360.

Prawo z 1874 r. zwane prawem Roussel, ustanowiło w każdym departamencie Francji, pewną liczbę inspektorów, przeznaczonych do czuwania nad losem niemowląt i wogóle drobnej dziatwy. Otóż obecnie paryżki prefekt policyi Gigot i rada departamentu Sekwany, zasadzając się na tem, że kobieta lepiej może spełniać dzieło opieki nad dziećmi, usunął inspektorów mężczyzn i w miejsce tychże mianowano 18 inspektorek, każda z pensją 1,200 franków rocznie.

W Anglii panie z najwyższych sfer arystokracji, związały się w towarzystwo, którego celem jest zmniejszenie wysokich wydatków, jakie dziś ciąży na rodzinach wszelkich warstw towarzystwa, przez zbytkowy i nadmiernie wykwintny ubiór kobiet. Towarzystwo to, na którego czele stanęła księżna St. Albans, liczy między członkami swoimi margrabinę Londonderry, hrabiny: Cottenham, Coventry, Dunraven, Lady Fitz Maurice, wice-hrabinę Wentworth, czyli panie z najpierwszych, najstarszych i razem najbogatszych domów angielskich. Towarzystwo to niemniej nie jest zamkniętym i ograniczonym do kółka pewnej koteryi, a przeciwnie chce się stać publicznym, narodowym i działać w sposób taki, aby odcinając kobietę od zbytków, nie nałożyć jej przeciw praw zbyt surowych, purytańskich, więc nie łatwo przyjąć się dających. Działanie towarzystwa opiera się na tem,

aby panie stowarzyszone miały własne sklepy i magazyny, gdzieby nie przesadzano się w celu własnych zysków na wyrachowane sposoby podniesienia strojów, co — rzec można — jest odporem jaki rodzina, społeczeństwo, stawia przemysłowi, wyzyskiwającemu dla celów swoich niewieścią wadę próżności, zamiłowanie kobiety w zbytkach i gałgankach. Główny zakład towarzystwa otwarty został w bardzo eleganckiej i arystokratycznej części Londynu, przy Jermyn-Street, o kilka kroków od St. James-Street, która jest częścią West-Endu, czyli siedliska magnaterii angielskiej w czasie jej przebywania w stolicy. Filia zakładu ma zostać, a może już została otwartą w Paryżu, przy ulicy Richelieu, gdzie najrzęczniejsze szwaczki i modystki do strojów mają być zajęte, i nadsyłać do Londynu modele mód paryżkich, oraz pracować na zapotrzebowania pań stowarzyszonych we Francji. Lokal zakładu londyńskiego liczy 36 pokoi i był poprzednio zajmowanym przez klub uniwersytecki, a obejmuje oprócz pracowni sukien i strojów, zarazem sklep, gdzie panie stowarzyszone dostać mogą wszelkiego rodzaju towarów, w skład ubioru kobiecego wchodzących, nawet bielizny, futer, szalów i t. d. Stowarzyszenie ręczy za dobroć towaru i sumiennosc cen, przeciwko można oddawać do roboty w pracowni stowarzyszenia materiały gdzieindziej nabywane, jak również można się zaopatrywać w towar w sklepie stowarzyszenia, nie oddając go tamże do roboty. Modele i wzory są chętnie kupującym towar paniom pokazywane z należytymi wskazówkami, a to w celu ułatwienia roboty w domu dokonywanej. Zakład ma również gotowe stroje i kostiumy, na ceny różne, które jednak będą znacznie niższe niż w magazynach i innych pracowniach na mieście, jakkolwiek stowarzyszenie troskliwie czuwa nad tem, aby robotnice nie były pokrzywdzone i za pracę swą należycie wynagrodzone zostawały, a jak sądzić trzeba, zarobek ich w pracowniach stowarzyszenia będzie większym, niż otrzymywany dotąd w zakładach innych. Kapitał stowarzyszonych obliczony jest ogromnie, bo na sto tysięcy funtów sterlingów, co jest więcej niżeli milion franków; rozpada się on na 20,000 akcji, każda akcja po 5 funtów sterlingów. Na początek towarzystwo wypuści tylko połowę, to jest 10,000 akcji, które jak pisma angielskie wróżą, będą w bardzo krótkim przeciągu czasu rozebrane. Pożądany dla ogółu rozumnych kobiet cel, w połączeniu z zapewnieniem, że przedmioty wychodzące z pracowni i sklepów stowarzyszenia, mogą być tylko dobre i wymaganiom najlepszego gustu odpowiednie, uczynią stowarzyszenie popularnym; przytem spodziewane są znaczne dywidendy.

Alle najważniejszą już dywidendą będzie dla kobiety angielskiej wydostanie się z rąk zysku na niej chciwych i ztąd schlebiających jej słabościom, rozdmuchujących jej wady i potęgających je przez podsuwanie sposobności do złego. Psutym jest przez przemysł nowoczesny nie tylko jak dobry smak kobiety, ale i jej serce, jej charakter w ogóle — i stowarzyszenie, o którym mowa, jest prawdziwym stowarzyszeniem emancypacyjnym, bo dążącym do wyzwolenia kobiety z najcięższej jej niemocy: małości duchowej. Pisma angielskie, rozbiegając nadzieje powodzenia towarzystwa, bardzo je podnoszą; wysokie położenie pań, które na czele jego stoją i do członków jego należy, pociągnie wiele kobiet, nawet niekoniecznie o oszczędności myślących, a nie można też wątpić, aby nie było serc zdolnych odczuć rzeczywiście szlachetne stowarzyszenia cele. Księżna Saint-Albans w programacie stowarzyszenia tak się do kobiet narodu swego odzywa: — „W chwili, gdy widnokrąg świata zaciąga się czarnymi chmurami, gdy ludzkość może zostać dotknięta ogromem cierpień, i miliony ludzi przechodzić będą przez cierpień tych próby, czyż kobieta angielska nie potrzebuje gromadzić środków, przez które zdołałaby nieść ulgę i pomoc nieszczęśliwym?“

Nie tylko prąd do oszczędności, ale do wspomaganie przemysłu domowego, bardzo silnie zaznacza się w Anglii i o to księżna Marlborough, małżonka wice-króla Irlandyi, została obdarowana przez Jerzego Walker z Gardens Mill, sztuką najpyszniejszego płótna batystu, które całkowicie, poczynając od zasiania lnu, który tam wyrósł, zo-

stało wyrobione i wybielone w dobrach Londonderry. Księżna kazała sobie natychmiast uszyć z otrzymanego batystu suknię, a w ślad zatem Następczyni Tronu, księżna Walii, oraz margrabina Londonderry obstałowały sobie toalety z takiegoż materiału, zdobiąc je koronkami „Macramé“, które są także ręczną pracą kobiet, rozpowszechnioną dobroczynnie w północnej Irlandyi przez Miss Walker. Koronka „Macramé“ wyrobiona z cienkich, błyszczących nici irlandzkich, może być bardzo pięknym i delikatnie wytwornym wyrobem. Okazy koronki i passamantery „Macramé“ widzieliśmy na naszej wystawie pracy kobiecej, nadesłanej przez księżną Jadwigę z Zamojskich Sapieżynę. W Irlandyi liczą, że przemysł ten może przysię z pomocą licznej rzeszy kobiet, potrzebujących zarobku. I w Galicyi, szczególnie wśród ubogich wiosek górskich, podobnie zarobek dany kobietom byłby dziełem wysoce dobroczynnym. Ze do obywatelskich usiłowań na tej drodze poczuły się panie tamtejsze — zaświadczyła o tem tak wystawa Lwowska, jak i Warszawska.

Wtrącić tu muszę słówko dla zwrócenia uwagi czytelników na fakt, jak w krajach najsilniej przemysłowych, gdzie domowa praca kobiety, domowe kobiety gospodarstwo prawie zaniknęło pod rozwielmożeniem się przemysłu, poczęto spostrzegać wielkie szkody, wyrządzone społeczeństwu przez upadek ducha rodzinnego i idącej w ślad zatem moralności. Zawracają też, odcinając wielkiemu przemysłowi co tylko się da, na korzyść przemysłu domowego. Forsowna, rzec-by można, nauka gotowania, wnoszenie narodowych szkół takowego, jest tego zwrotu jednym objawem. Kobieta klasz niebogatach wszystko niemal, co służyło do pożywienia, tak jej własnego, jak i rodziny, kupowała gotowe, sama zaś oddawała się pracy czy zadomowej (najczęściej), czy w domu dla zarobku dokonywanej, otóż dziś spostrzeżono jak są wielkie szkody tego gospodarczego systemu, niby na podziale pracy opartego. Nie wszystko da się ująć pod kredkę i zamknąć w cyfrze, poznano po skutkach, że te nieujęte strony spraw ludzkich cierpiąc, wprowadzały chorobę i rozkład w cały organizm społeczny, rodzinny i jak widzimy zawracają. Podniesienie domowego przemysłu jest rzeczą wielkiego znaczenia dla szczęścia rodzin, dla podniesienia obyczajów i ducha moralności publicznej. Czytelnicy nasi przypominają sobie może dobroczynne pod tym względem działanie w Szwecyi i Norwegii towarzystwa *Przyjaciół pracy domowej* (Handarbets Vänner), otóż w dalszym rzeczy ciągu drugi kraj Skandynawski, Dania, przedstawia w tym kierunku niemniej troskliwie i starannie podejmowane zabiegi, działające również drogą stowarzyszenia. Tu rzecz podjęta została z gruntu, wprowadzając w wychowanie młodzieży pierwiastki, z których rozwinąć się to ma w życiu społecznym. Promotorem tego ruchu i pierwszym jego działaczem jest szlachcic duński, Clauson Kaas, który wyprobowany na własnych dzieciach system, rozpowszednić potrafił w całym kraju.

## WIADOMOŚCI

### Literackie, artystyczne i naukowe.

— Prostujemy wiadomość podaną w N. 19 *Bluszczy* w dziale niniejszym w uwagach nad wydawnictwem warszawskim *Dzieł Karola Szajnoch*: jakoby rzeczywistym, naukowym i literackim, wydawcą tych dzieł był p. Adolf Pawiński — prostujemy zaś z tem większą przyjemnością, iż nie my sami wytworzyliśmy sobie w danym wypadku mniemanie o kierownictwie p. Pawińskiego, ale wiele jeszcze innych osób z literackich kół Warszawy podobnie mniemanie żywiło. Powodem pomyłki, popełnionej przez nas, tak w N. 19 *Bl.* jak i parę razy już przedtem, we wzmiankach o wychodzeniu pojedynczych tomów, jest niejasne wyrażenie w prospekcie z r. 1875, w miejscu, gdzie wydawca mówi o „zapewnieniu sobie pomocy“ p. Pawińskiego, co wpraw-



dzie literalnie tylko do życiorysu Szajnochy miało się stosować, ale postawione było w taki sposób, iż pozwalało się domyślać współpracownictwa i w innym jeszcze zakresie. Przepraszając p. Pawińskiego za niewłaściwe skierowanie ku niemu zarzutów wiadomych, dzielimy się z czytelnikami oświadczeniem jego w liście do Redakcyi: „ze z wydawnictwem nie wspólnego nie miał, że na całe przedsięwzięcie pod żadnym względem nie wpływał, i że wreszcie uważał za stosowne nie pisać życiorysu Szajnochy, o który go wydawca prosił“.

— Muzeum Luwru w Paryżu wzbogacone zostało w początkach bieżącego roku ważnym bardzo nabytkiem. Jest nim papyrus egipski, zdaniem specjalistów, jedyny w swoim rodzaju. Ma on 8 (ośm) metrów 30 centymetrów długości i 43 centymetry szerokości i jeśli nie jest największym ze znanych to, niezawodnie do rzędu największych należy. Papyrus znajduje się w stanie doskonałego zachowania. Opowiedziana jest w nim historia skonu i pogrzebu matki króla Her-Hoda z jednej z dwóch najpiękniejszych dynastji Menejskiej lub Tynnickiej. Data spisania tej historii niewiadoma jeszcze, ale wypadek sam nastąpił przed blisko czterema tysiącami lat. Kilkanaście jeszcze lat temu za najpiękniejszy zbiór papyrusów w Europie uważano zbiór znajdujący się w Turynie. Najpowszechniejszym pismem w papyrusach nie jest hieroglificzne, ale hieratyczne: źródło, z którego czerpiemy, nie wskazuje: którego z nich użyto w nowym Papyrusie muzeum Paryżskiego?

Przy sposobności nie od rzeczy będzie przypomnieć, że po pracach pomnikowych Bunsena, Lepsius i Brugscha ukazało się w literaturze niemieckiej w miesiącu Styczniu r. b. nowe dzieło, w przystępnej i ujmującej formie, a z całą naukową powagą opisujące starożytny Egipt. Autorem jego jest uczony egiptolog Ebers, professor w Lipsku, szerszej publiczności znany z powieści swoich na tle egipskiej starożytności, z których jedna, *Eine ägyptische Königstochter*, przełożoną jest na język polski. Tytuł dzieła: *Aegypten in Wort und Bild*. Wydanie wspaniałe. Dzieło wychodzi zeszytami. Do Warszawy nadeszły dotychczas, o ile wiemy, 3 zeszyty.

— P. Winklerski, zamieszkały na Podolu, nadesłał p. A. Ed. Odyńcowi przekład niemiecki pierwszej pieśni *Pana Tadeusza*, którego w całkowitości literaturze niemieckiej przyswoić postanowił. Od lat czterdziestu przeszło będzie to pierwszy nowy przekład epopei Mickiewiczowskiej, przeznaczony dla Niemców. W liście do dawnego kolegi i przyjaciela Mickiewicza podaje p. W. przyjemną wiadomość, że ma zamiar zapoznać dzisiejsze pokolenie narodu niemieckiego z arcydziełami literatury polskiej i zakreślił sobie w tym celu ogromną pracę na 8 tomów. Jednocześnie z *Panem Tadeuszem* przekłada teraz *Balladynę* Słowackiego. Ma już wykonane następujące poemata: *Anhelli*, *Irydyon*, *Zamek Kaniowski*, *Sobótka* i *Monachomachia*, oraz powieść poetyczną autora „Sobótki“ *Oda*. Do swego zbioru zamierza oprócz wymienionych już utworów włączyć: *Ojca Zadźmionych*, kilka *Saty*r *Krasickiego* i *Wojnę Chocimską*, *Potockiego*. Ta ostatnia zadziwi Niemców, gdy się dowiedzą, że była pisana w XVII w.; wątpimy jednak czy się na pięknościach jej nieprzyjaciele naszego obyczaju i naszej przeszłości poznają. Oprócz tych utworów wierszem wejda jeszcze do projektowanego zbioru przekładów *Pamiętniki Paska* i *Pamiętniki starego szlachcica Litewskiego*. Wybór w ogóle pochwalić potrzeba; zamało tylko prawa Słowackiego w nim uwzględniono. Toż-to potęga poza *Balladyną* i *Ojcem Zadźmionych!* Czyby np. W *Szwajcaryi* nie miało doznać zaszczytu wejścia do zbioru jak wziął przed się p. Winklerski? Niema chyba Niemca, bo niema człowieka, z wyjątkiem okopcanych już fabrykantów, zacietrżowionych kupców i inżynierów, którzyby tego poematu nie zrozumieli i nie nazwał pięknym. Poczciwiej myśli pana Winklerskiego życzymy powodzenia.

Pisma codzienne donosiły w tych dniach, iż pan Albert Zipper, o którego przekładzie niemieckim *Maryi* Malezkiego pisaliśmy w N. 4 *Bl.* z r. b., w niniejszej rubryce, opracowuje obecnie przekład jednego z poematów Mickiewicza. Przekład *Maryi* daje tu dobrą ręką, że Mickiewicz przedstawi

się Niemcom korzystniej niż w r. 1836, gdy Spazier wydał swój przekład *Pana Tadeusza*.

— Przy ciągle jeszcze nieodpowiednio do potrzeb zorganizowanej służbie korespondencyjnej wewnątrzno-krajowej w naszych codziennikach, dotychczas jeszcze nie można było powziąć niezawodnej wiadomości o miejscu skonu *Berlicza Sasa*. Według nowych doniesień umarł on nie w Petersburgu, ale w Skierniewicach—o 9 mil od Warszawy, w której wychodzi codziennie 8 gazet, zajmujących się oprócz innych rzeczy także literaturą i jej sprawami. Data skonu utrzymuje się ta sama: 23 Kwietnia. Z listów bliższych znajomych nieboszczyka widać, że istotnie spisał on był kilkanaście tomów pamiętników, które przed śmiercią zniszczył.

— Instytut Jabłonowskiego w Lipsku ogłasza w wydziale historii i ekonomii politycznej następujące konkursy: na rok 1878: *Sporządzić porządkowy wykaz tych miejscowości w dzisiejszym cesarstwie niemieckim, które według stanu dotychczasowych badań źródłowych nosiły nazwy słowiańskie*; na r. 1871: *Opisać „Res gestae“ królów polskich od koronacji Przemysława II (1295) aż do śmierci Aleksandra Jagiellończyka (1506)* — tak, aby dzieje te posłużyły mogły za podstawę niezbędną do opracowania ogólnej historii politycznej Polski w całym tym okresie. W razie zadawalniającego wywiązania się z tematu Towarzystwa zamierza wznowić go co do następnych dwóch panowań po Alexandrze. Za wzór do napisania zadanej rozprawy postawione są: *Regesten Karls des IV*, Hubera. Rękopisma nadesłane być winne najpóźniej do d. 30 Listopada danego roku. Rozprawa pierwsza może objąć tylko część terytorjum dzisiejszego cesarstwa niemieckiego i według ogólnych zasad konkursów Jabłonowskiego może być napisana według wyboru w języku łacińskim, niemieckim lub francuskim. Dla rozprawy drugiej za najodpowiedniejszy wskazano język łaciński; dopuszczono wszakże i niemiecki. Nagrody oznaczone w wysokości 700 marek.

— Świat przyrodoznawczy prócz *Secchiego*, zmarłego w Rzymie w dniu 26 Lutego, utracił jeszcze w r. b. jednego z nieśmiertelnych swoich, Juliusza Rob. Mayera, twórcę teorii mechanicznej ciepła. Zmarł on w Heilbronn, w Wirtemberskiem, w d. 20 Marca. Był synem aptekarza w tem mieście, i tu urodził się dnia 25 Listopada 1814 r. W r. 1827 zaczął się kształcić na lekarza w Tubindze; potem pracował w Monachium i w Paryżu. W r. 1840, popłynąwszy na Wschód jako lekarz okrętowy, podczas pobytu na Jawie zebrał pierwszy zasób doświadczeń, które go naprowadziły później na wielkie naukowe odkrycie. Pierwszy zarys swej teorii rzucił w r. 1842 w czasopiśmie *Annalen für Chemie und Pharmacie*. Od tego czasu rozwijał poglądy swój na mechaniczną naturę ciepła w licznych osobno wydawanych pismach, które w r. 1877 zebrane zostały w jedno p. t. *Die Mechanik der Wärme*. Miał Mayer współzawodników zaprzeczających mu pierwszeństwa w wielkim odkryciu, którego dokonał; ale w nauce dziś już tytuły jego są niewzruszone. Nieobojętą tu będzie wzmianka, że Mayer, podobnie jak Newton, jak Jędrzej Śniadecki, jak Bär, jak prawie wszyscy wielcy uczeni, był nieprzyjacielem materializmu—i spółki z nim żadnej nie trzymał.

— Prof. Dr Antoni Kosiba wydał w r. b. w Kołomyi—nie pierwsza to książka wychodząca w tem zapadłym miasteczku—zajmującą rozprawę *O uczuciach ze stanowiska psychologii* (nakład Tow. Pedagog. druk Zadembkiego i Spółki, w Kołomyi, str. 82 i Treść, 8-o duże). Autor patrzy na uczucia najpierw ze stanowiska tonu, jaki się w nich przebijają, następnie ze stanowiska źródła, z jakiego wypływają. — Według tego też wprowadza do uczuć dwa wielkie naczelné podziały. W pierwszym spotykamy uczucia *przyjemne*, *nieprzyjemne* i *wieszane*, w drugim: *formalne*, zależne od formy wyobrażeń, i *kwalitatywne* (mianowane?), zależne od ich treści, które bywają *pięciórakie*: *sympatetyczne* (współuczucie smutku lub radości), *intelektualne* (idea prawdy), *estetyczne*, *moralne* i *religijne*. Nadto p. K. przyjmuje trzecią klasę dla *uczuć miłości i nienawiści*. Dobrze, gorąco o tych ostatnich mówi autor; jest on optymistą i wierzy w coraz większe rozpościeranie się miłości po obszarach ziemi. Zbija też fałszywe zupełnie a dylematyczne przeciwstawienie uczucia

i rozumu, które jakoby wzajem wyłączać się miały. Znać, że autor czytał wiele i zna literaturę swego przedmiotu; zdziwiło nas więc to, że pomija psychologów-angielskich tegoczesnych. Pojęcie tonu w uczuciach pięknie rozwija August Cieszkowski w rozprawie swojej *O drogach ducha* (1869) w rozdziale II. Postawił on tam zrównanie logiczne: *jak się ma uczucie do tonu, tak się ma myśl do słowa*.

## HISTORIA ZBRODNI

T O M II.

DZIEŃ CZWARTY.

Zwycięstwo.

(Dalszy ciąg).

Zaklinał ich, nakazywał im połączyć się z obrońcami ludu i prawa; potem, nagle powracając do swoich pierwszych słów, uniesiony tem braterstwem, które przelewało jego duszę, przerwał sobie w środku zaczętego zdania i zawołał:

— Lecz po co tyle słów? Tu tego niepotrzeba, ale uściśnienia ręki pomiędzy braćmi! Żołnierze, wyście tam o sto kroków od nas z gołą szablą, z wymierzonym karabinem — wy mierzycie do mnie—a my wszyscy, którzy tu stoimy, my was kochamy! Niema między nami ani jednego, któryby nie dał swego życia za każdego z was. Wy jesteście wieśniakami Francji, my robotnikami Paryża. O cóż, więc chodzi? Prostu o pomówienie ze sobą, a nie mordowanie się. Gdybyśmy spróbowali, co? Co do mnie, na tem straszliwym polu walki, wojny domowej, wolę umrzeć aniżeli zabić—schodzę z tej barykady i idę ku wam—ja niemam broni; wiem tylko, żeście moimi braćmi, i jestem spokojny, a gdyby mi który podstawił bagnę, podam mu rękę.

Zamilkł.

Głos z przeciwnej barykady zabrzmiał: — Baczność, naprzód!

Wtedy Dussoubs zeszedł z wolna, z kamienia na kamień, ze szczytu barykady słabo oświetlonego, i pogrążył się—głowę trzymając w górę — w ciemnej ulicy.

Współtowarzysze śledzili go wzrokiem z niewysłowioną trwogą. Serca bić przestały — usta nie oddychały.

Nikt nie myślał zatrzymać Dyonizego Dussoubs. Każdy czuł, że idzie tam, gdzie potrzeba, ażeby poszedł. Charpentier chciał mu towarzyszyć.

— Chcesz, ażeby poszedł z tobą? — krzyknął; Dussoubs odmówił dawszy znak głową.

Dussoubs, sam, pełen grozy, podsunął się ku barykadzie Mauconseil.

Noc była tak ciemna, że go prawie natychmiast zgubiono z oczu. Tylko w kilka sekund później, można było dostrzedz postawę jego, nieustraszoną i spokojną. Potem zniknął. Nie już więcej nie ujrano.

Była to chwila okropna. Noc czarna i głucha. Wśród tych cieni ponurych, słychać było jedynie krok jego powolny a stanowczy.

Po jakimś czasie—którego trwania nikt nie mógłby oznaczyć,—gdyż tyle wzruszeń odejmowało myśli, świadkom tej sceny nadzwyczajnej — ukazało się światelko w barykadzie żołnierzy; była to zapewne latarnia. Przy jej świetle ujrano Dussoubsa: był już blisko barykady i miał jej dosięgnąć. Szedł z ramionami rozkrzyżowanymi jak Chrystus.

Nagle dał się słyszeć rozkaz: Pal!

Padły strzały.

Wypalili do Dussoubsa, przyłożywszy mu prawie lufy do piersi.

Dussoubs padł.

Potem się podniósł i krzyknął: Niech żyje Rzeczpospolita!

Uderzyła go nowa kula, upadł napowrót. Później znów się podniósł raz jeszcze, i słyszano jak



zawołał mocnym głosem: Umieram wraz z Rzeczpospolitą.

To było ostatnie jego słowo.

Tak umarł Dyonizy Dussoubs.

Nie nadarmo powiedział bratu swemu: Twoja szarfa będzie tam.

Chciał, ażeby ta szarfa spełniła swój obowiązek. Zadekretował w duszy swojej wielkiej, że odznaka ta odniesie tryumf, czy to przez prawo, czy przez śmierć.

To jest, że w pierwszym razie uratuje ona prawo—a w drugim: honor.

Mógł, oddając ducha, powiedzieć sobie: Udało mi się!

Z dwóch możliwych tryumfów, o których marzył, ten tryumf ponury, nie należał do najmniej pięknych.

Żołnierz z Elizeum sądził, że zabił reprezentanta ludu i pysznił się tem. Jedyny dziennik wydawany przez Zamach stanu pod temi rozmaitemi tytułami: *Patrie, Univers, Moniteur parisien* etc., obwieścił nazajutrz, w Piątek, d. 5, że „ex-deputowany Dussoubs (Gaston) został zabity na barykadzie z ulicy Neuve-Saint-Eustache, i że miał czerwony sztandar w rękę.“

Ten najpiękniejszy rozdział książki W. Hugo, tak przypominający jeden z rozdziałów słynnej powieści „*Nędznicy*“ ma jeszcze drugi dodatkowy, niemniej ciekawy. Bo oto kiedy ujrano z barykady Petit-Carreau, padającego Dussoubsa, z taką chwałą dla swoich, z taką hańbą dla morderców,—nastąpiła chwilka osłupienia.—Czyż-to było możliwe?

Tożżeto mają przed oczyma? Taka zbrodnia popełniona przez naszych żołnierzy? — Zgroza ogarnęła dusze.

Ten moment osłupienia trwał krótko.—Niech żyje Rzeczpospolita! — wrzasnęła barykada jednym głosem, i odpowiedziała na zasadzkę straszliwym ogniem.

Walka się rozpoczęła.

Walka wściekła ze strony zamachu stanu, rozpaczliwa ze strony rzeczypospolitej.

Ze strony ludu, brak kul, nieporządek, zmęczenie, wyczerpanie, biak karności, a zamiast wodza: oburzenie.

Zdaje się, że podczas gdy Dussoubs mówił, piętnastu grenadierów, pod wodzą sierżanta Pitrois, zdołało prześliznąć się w ciemności, wzdłuż murów i zająć, niepostrzeżeni od nikogo, pozycję dościsłego blisko barykady. Tych piętnastu ludzi zgromadziło się nagle z bagnetem przed sobą, a dwadzieścia kroków — w pogotowiu do wdrapania się na barykadę. Przyjęły ich wystrzały. Cofnęli się, zostawiając kilku trupów w rynsztoku. Dowódca batalionu Jeannin krzyknął: Skończmy z nimi! — Wtedy batalion zajmujący barykadę Mauconseil ukazał się cały z bagnetem w górę, na nierównej powierzchni barykady, i ztamtąd nie rozrywając szeregów, ruchem nagłym ale niez błaganym, rzucił się w ulicę. Cztery kompanie w ściśniętym szeregu, zdawały się tworzyć jeden potok, który nagle rozlał się z wielkim hałasem.

Na barykadzie Petit-Carreau, śledzono ten ruch i zawieszono ogień.

— Wymierzyć — krzyknął Sarre — ale nie strzelać. Czekać rozkazu.

Każdy wymierzył, lufy karabinów oparto na kamieniach brukowych, w pogotowiu do strzału, i tak czekali.

Batalion, raz wyszedłszy z reduty Mauconseil, sformował się nagle w kolumnę atakującą, a w sekundę potem usłyszano wrzawę podwójnego kroku. Batalion nadbiegał.

— Charpentier — rzekł Sarre — ty masz dobre oczy. Są już w połowie drogi?

— Tak — odrzekł Charpentier.

— Ognia! — krzyknął Sarre.

Barykada dała ognia. Cała ulica zniknęła w dy-

mie. Kilku żołnierzy padło. Posłyszano jęk rannych. Batalion, przyjęty kulami, zatrzymał się i odpowiedział ogniem plutonowym.

Siedmiu czy ośmiu walczących, którzy połowiciele przewyższali barykadę niską i zrobioną naprędce, zostało rannych.

Trzech zabito na miejscu. Jeden padł ranny kulą w brzuch, pomiędzy Charpentierem a Sarrem. Wył z bólu.

— Szybko do ambulansu! — rozkazał Sarre.

— Gdzie?

— Na ulicy du Cadran.

Sarre i Charpentier porwali rannego, jeden za nogi, drugi za głowę, i ponieśli go na ulicę Cadran przez otwór zrobiony umyślnie na ten cel, w barykadzie.

Przez ten czas ognia dawano ciągle.

Nie więcej nie widać było w ulicy prócz dymu, a kule świsnęły krzyżując się, rozkazy krótkie i powtarzane, czasem jęk żaloszny i błysk przedwystrzałowy, rozdzielający ciemności.

Nagle silny głos zakomenderował: Naprzód! Batalion podwójnym krokiem podbiegł i rzucił się na barykadę.

Wtedy — strasznie było. Walczono pierś o pierś, czterystu z jednej, pięćdziesięciu z drugiej strony. Brano się za kołnierz, za gardło, za wargi, za włosy. Nie zostało już ani jednej kuli na barykadzie, ale została rozpacz. Jeden robotnik, przesyty na wyłot, wyrwał sobie z brzucha bagniet i przebił nim żołnierza. Nie widziano się, ale się pożerano. Było to zgniatać się po ciemku.

Barykada nie trzymała się dwóch minut. Była przecie, jak wiemy, niską w kilku miejscach. Okraczyli ją raczej, aniżeli zdobyli szturmem. Ale tak było jeszcze bardziej bohaterki.

Jeden z tych, co przeżyli (Louvain), mówił autorowi słów tych:

— Barykada broniła się bardzo źle, ale ludzie umierali bardzo dobrze.

Wszystko to działo się podczas tego, gdy Jan Sarre i Charpentier nieśli rannego do ambulansu. Opatrzywszy go, powrócili do barykady. Gdy dochodzili do niej, posłyszeli nazwiska swoje wymówione słabym głosem. Ujrzeni jednego ze swoich umierającego, opierającego się plecami o mur. Trzymał rękę przy piersiach, które mu przestrzelili, przyłożywszy do nich lufę.

Rzekł im słabym, zaledwo dosłyszalnym głosem: Barykada wzięta, ratujcie się!

— Nie — rzekł Sarre — mam jeszcze karabin nabity.

Nie możecie sobie wyobrazić nic okropniejszego nad wewnątrz wziętej barykady.

Republikanie obarczeni liczbą, nie opierali się już. Oficerowie krzyczeli: Nie brać więźnia!

Żołnierze więc zabijali tych, co jeszcze stali, a dobijali tych, co już padli. Kilku czekało na śmierć z podniesioną głową.

Kilku żołnierzy zgniatało obcasami twarze umarłych z tym zamiarem, iżby twarzy tych nie zdołano poznać.

Widziano rozciągniętego pomiędzy trupami wpośrodku barykady, homonyma Charpentiera, Carpentiera, delegowanego X okręgu, z głową w rynsztoku. Zabito go dwiema kulami w piersi. Padł nazwznak. Zapaliwszy kaganek, który żołnierze wzięli w handlu win, ustawiono go na bruku.

Żołnierze zaciekali się. Zdawało się, iż się mszczą. Na kim?

Robotnik pewien, nazwiskiem Patürel, otrzymał 10 pchnięć bagnetem i trzy kule. Cztery pchnięcia w głowę. Zdawało się żołnierzom, że umarł i dano mu pokój. Czuł on tylko jak mu rewidują kieszenie, z których zabrano 10 franków. Umarł dopiero w sześć dni później, opowiedziawszy te szczegóły.

Sześćdziesięciu republikanów zamknęło się w tej reducie przy Petit-Carreau. Czterdziestu sześciu dało się tu zabić.

Ci ludzie przyszedli tu rano, wolni, dumni, iż walczyć będą i szczęśliwi, że umrą. O północy, wszystko już z nimi skończone.

Furgony nocne zwoziły nazajutrz dziewięć trupów na ementarz szpitalny, a trzydzieści siedm na Montmartre.

Jan Sarre ocalił się cudownie podobnie jak Charpentier i trzeci, którego nazwiska nie można się było dowiedzieć.

Przepełzali wzdłuż murów i dostali się do passażu Łososia.

Kraty, które zamykają to przejście w nocy, nie dosięgają łuku bramy.

Przeleźli je więc z narażeniem się na przebicie. Sarre pierwszy to skuteczniał. Gdy już dostał się na górę, na jednej ze sztachet zawisnął, zaczepiwszy się, i spadł głową na bruk. Podniósł się — był tylko ogłuszony. Dwaj inni szli za nim, tak, że wszyscy trzej zeszli się razem w przejściu. Lampa paląca się zdala, słabo je oświecała, a tymczasem słyszeli żołnierzy śpieszących z nimi. Ażeby się wydostać z ulicy Montmartre, potrzeba było przeleźć kratę u drugiego końca przejścia. Ręce mieli już skrwawione i kolana; umierali ze zmęczenia, tak, że nie byli w stanie probować drugiego takiego przedostania się przez kratę.

Sarre wiedział, gdzie się znajduje stróż pilnujący tego passażu. Zapukał do jego okienka, błagając go, ażeby otworzył. Stróż odmówił.

W tym momencie, oddział ścigający ich doszedł do kraty, którą dopiero przeleźli. Żołnierze słysząc szmer w passażu, przyłożyli lufy karabinów do krat. Sarre przytulił się do muru poza jedną z tych kolumn, które zdobią passaż; lecz kolumna zbyt cienka, osłaniała go zaledwo do połowy. Żołnierze wystrzelili, dym zapełnił passaż. Kiedy się rozproszył, ujrzał Sarre Charpentiera leżącego na kamieniach, z twarzą ku ziemi. Dostał kulę w serce. Drugi towarzysz leżał o kilka kroków ztamtąd, ranny śmiertelnie.

Żołnierze nie przeleźli kraty, lecz postawili u niej wartę. Sarre słyszał jak odeszli przez ulicę Mandar. Zapewne powrócą.

Ani sposobu ucieczki. Obmacał wszystkie drzwi naokoło, jedne otwarły się nareszcie. Wydało mu się to cudem. Któż zapomniał drzwi tych zamknąć? Zapewne Opatrzność. Schował się za nie, stojąc tam przeszło godzinę nieporuszony i nieśmiejący oddychać.

Kiedy nie słyszał już żadnej wrzawy ośmielił się wyjść. Warty już nie było. Oddział połączył się z batalionem.

Jeden z jego dawnych przyjaciół, człowiek, któremu Sarre oddał usługi jakich się nie zapomina, mieszkał właśnie w passażu Saumon.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Na wydawnictwo jubileuszowe J. I. Kraszewskiego. zapisały się, za pośrednictwem naszej Redakcji następujące osoby:

WP. Daniłowska Henryka; Dobrzański Adolf; Dubeltowicz; Glücksberg M.; Januszewski; Kaufmann Ludwik; Kamiński; Kondratowicz; Kowalski Jan; Landau Ignacy z Bukaresztu; Michałowski; Mikulski; Sobocki Józef z Bielin; Zawistowski Ks.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 19-ty powieści pod tytułem: **Zamek Daly.**

**TREŚĆ.** Drapieżne ptaszę, poezya, przez Wł. L. Anczyca. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd piśmienniczy, (dalszy ciąg), przez Stanisława Krzemińskiego. — Z działy przyrody, (dokończenie), przez prof. K. Jurkiewicza. — Kronika działalności kobiecej. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe. — Historia zbrodni, W. Hugo, przełożył Edward Lubowski. — Listy z zagranicy.